

Hugo Victor

KOZETA

W pierwszej ćwierci naszego stulecia w Montfermeil pod Paryżem stała karczma, która dziś już nie istnieje. Właścicielami jej byli Tenardierowie, mąż i żona. Karczma znajdowała się przy ulicy Piekarskiej. Nad jej drzwiami widniała deska przybita do ściany. Na desce było wymalowane coś, co przypominało człowieka dźwigającego na plecach drugiego człowieka, który miał generalskie epolety — wielkie, złote, z ogromnymi, srebrnymi gwiazdami; czerwone plamy wyobrażały krew; tło obrazu stanowił dym, który prawdopodobnie miał przedstawiać bitwę. U dołu można było przeczytać napis: „U sierżanta spod Waterloo”.

Nic zwykleszego niż wózek czy bryka przed drzwiami oberży. Jednakże wehikuł, a raczej część wehikułu, która pewnego wiosennego wieczora w roku tarasowała ulicę przed karczmą „U sierżanta spod Waterloo”, przyciągnęłaby swym kształtem uwagę malarza, który by przypadkiem tamtędy przechodził.

Był to przód jednego z tych wozów używanych w lesistych okolicach, które służą do przewożenia pni ściętych drzew i bali.

Składał się on z masywnej, żelaznej osi, w której tkwił ciężki dyszel; oś dźwigały dwa ogromne koła. Pod osią zwisał luźno gruby łańcuch.

Środek zawieszzonego pod osią łańcucha nieomal dotykał ziemi, na nim zaś, jakby na huśtawce, siedziały owego wieczora dwie dziewczynki ślicznie do siebie, przytulone, jedna mniej więcej dwuipółletnia, druga półtoraroczna; starsza objęła rączkami młodszą. Przemysłnie zawiązana chustka zabezpieczała je przed upadkiem.

Dziewczynki, ubrane ładnie, a nawet dość starannie, promieniały radością: rzekłbyś, dwie różyczki wśród starego żelastwa. Oczy błyszczały im z zachwytu, świeże policzki śmiały się. Jedna była szatynką, druga brunetką. Ogromny przód wozu,

szczerniały od rdzy, nieomal przerażający, pogięty i połamany, sterczał nad ich delikatnymi główkami, ulepionymi ze szczęścia i skąpanymi w świetle — niby wejście do pieczary.

Tuż obok, na progu oberży, siedziała matka, kobieta niezbyt miła z wyglądu, ale w tej chwili wzruszająca; huśtała dzieci za pomocą długiego sznura i, nie spuszczać ich z oka, czuwała, żeby się dziewczynkom nie stało nic złego.

Przy każdym poruszeniu — ogniwa potwornego łańcucha wydawały zgrzyt podobny do wrzasku złości; dziewczynki były zachwycone, a tej radości przyświecało zachodzące słońce.

Matka, kołysząc tak swoje córeczki, śpiewała fałszywym głosem popularną wówczas piosenkę:

— Tak trzeba, powiedział rycerz...

Zajęta śpiewaniem i uważaniem na dzieci nie widziała i nie słyszała, co się dzieje na ulicy.

A tymczasem, kiedy zaczynała pierwszą strofkę pieśni, ktoś podszedł do niej i usłyszała nagle głos odzywający się tuż koło jej ucha:

— Jakie śliczne ma pani dzieci!

— ...Do pięknej i tkliwej Imoginy... — odpowiedziała, dalej śpiewając swoją piosenkę, po czym odwróciła głowę.

Obok niej stała jakaś kobieta. I ona również miała dziecko; trzymała je na ręku. Dziecko tej kobiety było jednym z

najśliczniejszych stworzeń, jakie zdarza się oglądać. Była to dziewczynka dwu, najwyżej trzyletnia. Kokieterią sukienek

śmiało mogłaby konkurować z dziewczynkami i huśtawki; miała ślimaczkę z cienkiego batystu, wstążeczki przy kaftaniku i koronki przy czepeczku. Podwinięta spódniczka ukazywała białe, tłusciutki, krzepkie nóżki. Była cudownie rumiana i zdrowa. Aż brała chętkę, żeby ugryźć jabłuszka jej policzków. O jej oczach tyle tylko można było powiedzieć, że są pewnie bardzo

duże i że mają wspaniałe rzęsy. Spała.

Matka jej miała wygląd zbiedzony i smutny. Ubrana była jak robotnica wracająca na stałe na wieś. Była młoda. Czy była

piękna? Może. Ale w tym stroju trudno było to zauważyć. Włosy, gęste chyba i jasne sądząc po kosmyku, który opadał na czoło, ukryte były surowo pod brzydkim, obcisłym czepekciem zawiązanym pod brodą. Uśmiech pokazuje, czy zęby są ładne; ale ona nie śmiała się. W jej oczach, jak się zdawało, nie tak dawno temu obeschły łzy. Była błąda; wyglądała na zmęczoną i trochę chorą. Patrzyła na śpiącą na jej ręku córeczkę z tym szczególnym wyrazem matki, która wykarmiła sama swoje dziecko. Duża, niebieska chustka, złożona we dwoje, niezgrabnie okrywała jej ramiona. Dłonie miała opalone i usiane piegami, palce stwardniałe i poklute od igły, brązowy płaszcz z szorstkiej wełny, płócienną suknię i grube trzewiki. Była to Fantyna.

Mając dwadzieścia dwa lata pewnego wiosennego

ranka z dzieckiem na ręku wyszła z Paryża. Ulitowałby się nad nimi każdy, kto by je spotkał po drodze. Ta kobieta nie miała na świecie nikogo prócz tego dziecka, a dziecko nie miało na świecie nikogo prócz niej.

Kiedy przechodziła koło oberży Tenardierów, dwie dziewczynki zachwycone dziwną huśtawką jakby ją urzekły; zatrzymała się przed tym obrazem szczęścia.

Dwie dziewczynki rzuciły czar na tę matkę. Patrzyła na nie, głęboko wzruszona. Te dzieci były szczęśliwe! Przyglądała się im, zachwycała się nimi i była tak bardzo przejęta, że kiedy ich matka nabierała oddechu między dwiema strofkami swojej piosenki, nie mogła powstrzymać się od wymówienia słów, które już znamy:

— Jakie śliczne ma pani dzieci!

Nawet najokrutniejsze stworzenia łagodnieją, kiedy się pieści ich małe. Matka podniosła głowę, podziękowała i zaprosiła

podróżną, by spoczęła na ławie przy drzwiach, sama wciąż siedząc na progu.

Kobiety zaczęły rozmawiać.

— Nazywam się pani Tenardier — powiedziała matka dwóch dziewczynek. — To nasza oberża. — I nuciła dalej swoją piosenkę:

Tak trzeba, bo jestem rycerzem

I jadę na wojnę do Palestyny...

Pani Tenardier była ruda, gruba i, wielka. I jeszcze młoda: miała zaledwie trzydzieści lat. Gdyby ta

siedząca w tej chwili kobieta, podniosła się — być może jej wzrost i bary niczym u występującego po jarmarkach olbrzyma, przestraszyłyby już w pierwszej chwili podróżną, zniszczyłyby jej zaufanie i nie zdarzyłoby się to, o czym będziemy tutaj opowiadali. Ktoś siedzi, ktoś stoi — i od tego zależą nieraz ludzkie losy.

Podróżna opowiedziała swoją historię.

Była robotnicą; jej mąż umarł; w Paryżu nie mogła znaleźć pracy i szła jej szukać gdzie indziej, w swoje strony; wyszła z Paryża tego dnia rano, na piechotę; a ponieważ niosła dziecko, zmęczyła się i wsiadła do dylizansu z Villemomble, który spotkała po drodze; z Villemomble przyszła piechotą do Montfermeil; dziewczynka już trochę szła, ale niedługo, to przecież jeszcze takie. małe. Trzeba ją było wziąć na ręce i klejnocik usnął.

Po tych słowach ucałowała córkę tak gwałtownie, że mała obudziła się. Otworzyła oczy, duże, niebieskie oczy, takie same jak u matki, i zaczęła się rozglądać. Potem roześmiała się i choć matka chciała ją zatrzymać, ześliznęła się na ziemię z niepokromioną energią dziecka, które chce biegać. Nagle zobaczyła dwie dziewczynki na huśtawce, stanęła i wysunęła

jęczyczek na znak podziwu.

Tenardierowa rozwiązała chustkę, zsadziła swoje córki z huśtawki i rzekła:

— Pobawcie się we trzy.

W tym wieku przyjaźnie zawiązują się szybko

i już po upływie minuty dwie małe Tenardierówny bawiły się z nieznaną dziewczynką w wygrzebywanie dołków w ziemi, co Sprawiało im ogromną uciechę.

Ta nowa dziewczynka była bardzo wesoła: zrobiła sobie łopatkę z kawałka drewna i energicznie kopała dołek, dobry w sam raz dla muchy.

Kobiety rozmawiały.

— Jak się nazywa pani mała?

— Kozeta.

— Ile ma lat?

— Już prawie trzy.

— Jak moja starsza.

A tymczasem trzy dziewczynki przykucnęły, zaniepokojone i zdumione niesłychanie, gdyż stało się coś niezwykłego: z ziemi wylazła duża dżdżownica — strach i mnóstwo radości.

Trzy promienne główki zetknęły się.

— Jak się te dzieciaki prędko przyzwyczajają do siebie! — zawołała matka Tenardier. — Popatrzcie tylko, człowiek przysięgłby, że to trzy siostry.

To słowo było iskrą, na którą czekała zapewne druga matka. Schwyciła rękę pani Tenardier i, wpatrując się z natężeniem w jej twarz, powiedziała:

— Zatrzyma pani u siebie moje dziecko?

Pani Tenardier zrobiła ruch, który nie wyrażał ani zgody, ani odmowy, tylko zdziwienie. Matka Kozety mówiła dalej:

— Widzi pani, nie mogę wrócić w moje strony z dzieckiem. Praca nie pozwala. Z dzieckiem trudno

znaleźć zajęcie. Ludzie są tam u nas tacy dziwni. To sam Bóg przyprowadził mnie do waszej oberży. Kiedy zobaczyłam pani córeczki, takie śliczne, takie czyste, takie zadowolone — aż mną wstrząsnęło. Pomyślałam sobie: „Mają dobrą matkę”. Tak, właśnie tak: będą jak trzy siostry. A ja niedługo wrócę. Zatrzyma pani u siebie moją małą?

— Trzeba by się zastanowić — rzekła pani Tenardier.

— Dam sześć franków miesięcznie.

Tu odezwał się z wnętrza karczmy głos mężczyzny:

— Najmniej siedem. I za sześć miesięcy z góry.

— Sześć razy siedem — czterdzieści dwa — powiedziała pani Tenardier.

— Dam tyle — odparła matka.

— I jeszcze piętnaście franków na pierwsze wydatki — dodał męski głos.

— Razem pięćdziesiąt siedem franków — rzekła pani Tenardier. I śpiewała dalej:

— ...Tak trzeba, powiedział rycerz...

— Dam — powiedziała matka. — Mam osiemdziesiąt franków. Jeszcze mi zostanie na drogę. Pójdę piechotą. A w moich stronach znajdę robotę i kiedy zapracuję trochę pieniędzy, wrócę po moją kochaną dziecinę.

Znowu odezwał się głos mężczyzny:

— Czy mała ma wyprawkę?

— To mój mąż— powiedziała pani Tenardier.

— Pewnie, że ma wyprawkę, biedny skarb! Domyśliłam się, że to pani mąż. I to jaką piękną! Jak marzenie! Wszystkiego na tuziny, i jedwabne sukienki jak u damy! Mam ją tutaj w torbie.

— Trzeba będzie dać — odparł głos mężczyzny.

— Pewnie, że dam — rzekła matka. — Chyba się rozumie, że nie zostawię dziecka gołego.

Pojawiła się twarz gospodarza.

— No to dobrze — powiedział.

Dobito targu. Matka przenocowała w oberży, dała pieniądze i zostawiła dziecko, zawiązała lekką już teraz torbę, z której

wyjęto wyprawkę, i odeszła nazajutrz z rana, licząc, że niedługo powróci. Spokojnie odbywają się takie rozstania, lecz ileż się w nich kryje rozpacz!

Sąsiadka Tenardierów spotkała ją na drodze i, wróciwszy do domu, powiedziała:

— Widziałam jakąś kobietę na ulicy. Płacze, że aż się serce kraje. . . :

Kiedy matka Kozety odeszła, mąż rzekł do żony:

— Wykupię za to weksel na sto dziesięć franków. Jutro termin. Brakowało mi pięćdziesięciu franków. Miałbym komornika i protest. Zastawiłaś znakomite sidła przy pomocy twoich córek.

— Nienaumyślnie — odparła.

Oberża szła źle.

Dzięki pięćdziesięciu siedmiu frankom zostawionym przez podróżną udało się Tenardierowi uniknąć

protestu i zapłacie dług. W następnym miesiącu znów zabrakło pieniędzy. Tenardierowa poszła do Paryża i za sześćdziesiąt franków zastawiła w lombardzie wyprawkę Kozety. A kiedy Tenardierowie wydali tę sumę, powoli zaczęli uważać dziewczynkę za, dziecko przygarbione z litości i traktować ją w odpowiedni sposób. Wyprawki już nie miała, ubierano ją więc w stare sukienki i stare koszulki małych Tenardierówien, czyli w łachmany. Żywiono ją resztkami ze stołu, nieco lepiej niż psa, nieco gorzej niż kota. Kot i pies były zresztą zwykle jej współbiedniakami; Kozeta jadła razem z nimi, pod stołem, z takiej samej drewnianej miski.

Matka, która zamieszkała w Montreuil, pisywała, a raczej dyktowała list, co miesiąc, zapytując o dziecko.

Tenardierowie odpowiadali niezmiennie: „Kozeta ma się znakomicie”.

Po upływie sześciu miesięcy matka Kozety przysłała siedem franków za siódmy miesiąc i każdego miesiąca dość punktualnie przysyłała umówioną sumę. Pod koniec roku Tenardier rzekł:

— Wielką nam robi łaskę! Co to dla nas znaczy te jej głupie siedem franków!

I napisał żądając dwunastu. Matka, którą zapewniał, że dziecko jest szczęśliwe i „ma się dobrze”, zgodziła się i przysłała dwanaście franków.

Niektóre natury, gdy kochają kogoś, nienawidzą całej reszty świata. Tenardierowa namiętnie kochała

córki i dlatego znenawidziła cudze dziecko. Choć Kozeta tak niewiele zajmowała miejsca w jej domu, Tenardierowej zdawało się, że było to z krzywdą dla jej własnych dzieci. Ta kobieta, jak wiele tego rodzaju kobiet, co dzień musiała rozdać określoną ilość pieśczot i określoną ilość kuksańców. Gdyby nie było Kozety, niewątpliwie jej własne córki, choć tak ubóstwiane, otrzymałyby i jedno, i drugie; obca dziewczynka wyświadczała im wielką usługę ściągając na

siebie kuksańce. Córki Tenardierowej dostawały tylko pieszczoty; a Kozetce, przy każdym jej ruchu, sypał się na głowę grad gwałtownych i niezasłużonych kar.

A ponieważ Tenardierowa była niedobra dla Kozety, Eponina i Anzelma też zaczęły być dla niej niedobre. Dzieci w tym wieku bywają zwykle obrazem matki. Tyle tylko, że w mniejszym formacie.

Upłynął rok, upłynął drugi rok.

W miasteczku mawiano:

— Poczciwi ludzie z tych Tenardierów. Nie są bogaci, a wychowują biedne dziecko, które im podrzuciono.

Wszyscy mniemali, że matka zapomniała o Kozecie.

Tymczasem Tenardier zażądał piętnastu franków miesięcznie, twierdząc, że „stworzenie” rośnie i „je”, i grożąc, że odeśle dziewczynkę.

Matka płaciła piętnaście franków.

A dziecko rosło z każdym rokiem i z każdym rokiem rosła jego nędza.

Póki Kozeta była mała, była popychadłem obu córek Tenardierów; kiedy trochę podrosła, czyli kiedy nie miała jeszcze pięciu lat, została służącą do wszystkiego.

— Pięcioletnie dziecko — powie nam ktoś. — To nie do wiary! — Niestety tak było naprawdę.

Kozeta chodziła po sprawunki, zamiatała izby, podwórze, ulicę, zmywała naczynia, czasem nawet dźwigała ciężary.

Tenardierowie uważali, że są uprawnieni do traktowania jej w taki sposób, gdyż matka zaczęła gorzej płacić. Była im już

dłużna za kilka miesięcy.

Gdyby ta matka, teraz, po trzech latach, powróciła do Montfermeil, nie poznałaby swojego dziecka. Kozeta, taka śliczna i zdrowa, kiedy przyszła do tego domu, była teraz chuda i blada. W każdym jej ruchu znać było załęknięcie.

— Niedorozwinięta — mówili o niej Tenardierowie.

Pod wpływem niesprawiedliwości stała się mrukliwa, pod wpływem nędzy — brzydka. Pozostały jej tylko piękne oczy, w które przykro było spojrzeć, gdyż choć takie duże, wydawało się, że nie mogą pomieścić w sobie całego smutku dziewczynki.

Serce się krajało na widok tego niespełna sześcioletniego dziecka, które w zimie, przed świtem, drząc pod płóciennymi, dziurawymi łachmanami, zamiatało ulicę, z ogromną miotłą w czerwonych rączkach i ze łzami w dużych oczach.

W całej okolicy nazywano ją Skowronkiem.

Lud, który lubuje się w malowniczych przewiskach, wybrał takie imię dla tego drżącego, spłoszonego stworzenia, nie większego od ptaszka, które budziło się pierwsze w całym miasteczku i już przed świtem było na ulicy albo w polu.

Tylko ten biedny skowronek nigdy nie śpiewał.

Tenardier był niski, chudy, blady, kościsty, mizerny, wyglądał na chorego, a w rzeczywistości cieszył się doskonałym zdrowiem; jego szalbierstwa zaczynały się już tutaj. Był zawsze na wszelki wypadek uśmiechnięty i grzeczny wobec wszystkich, nawet i wobec żebraka, któremu odmawiał jałmużny. Dla fasonu często pijał z woźnicami, ale nikomu jeszcze nie udało się go spoić. Kurzył wielką faję. Nosił bluzę, a pod bluzą stary, czarny surdut. Lubił uchodzić za człowieka odczytanego. Mówił chętnie i dużo. Dawał do poznania, że wiele umie. Miejscowy nauczyciel zauważył jednak, że nieraz przekręca wyrazy. Z wyższością wypisywał podróznym rachunki, lecz wprawne oko znajdowało w nich niejednokrotnie błędy ortograficzne. Tenardier był skryty, chciwy, leniwy i zręczny.

— Obowiązkiem oberżysty — powiedział pewnego dnia żonie — jest sprzedawanie każdemu jadła, odpoczynku, światła, ognia, brudnej pościeli, służącej, pcheł i uśmiechów; zatrzymywanie

przechodniów, opróżnianie małych kies i ulżenie dużym kiesom; oberżysta powinien z godnością ofiarowywać schronienie podróżującym rodzinom i ograbiać mężczyzn, i oskubywać kobiety, i obdzierać dzieci, wyznaczać cenę za otwarte okno, za zamknięte okno, za miejsce przy kominie, za fotel, za krzesło, za stołek, za podnózek, za puchowe łoże, za materac, za wiązkę słomy; powinien wiedzieć, w jakiej mierze odbicie twarzy zużywa lustro, i obliczyć to, i — do pięciuset tysięcy diabłów! — za wszystko kazać zapłacić podróżnemu, nawet za muchy, które zjada jego pies.

Tenardierowa była wysoka, ruda, czerwona, tłusta, barczysta, ogromna i zwinna; było w niej coś z tego plemienia dzikich olbrzymek, które pokazują po jarmarkach siłackie sztuki, podnosząc brukowe kamienie przywiązane do włosów. W domu robiła wszystko — słała łóżka, sprzątała, prała, gotowała, rządziła się i piekliła. Jedyłą jej pomocnicą była Kozeta — mysz służąca u słonia. Wszystko drżało od dźwięku głosu Tenardierowej — szyby, sprzęty i ludzie. Jej szeroka i piegowata twarz była podobna do warząchw. Rosła jej broda. Był to istny tragarz przebrany w babską spódnicę. Klęła, że uszy wiodły; chełpiła się, że jednym uderzeniem pięści potrafi stłuc orzech. Kto ją usłyszał, ten mówił: „To żandarm”; kto zobaczył, jak pije, ten mówił: „To dorożkarz”; kto, zobaczył, jak traktuje Kozetę, ten mówił: „To kat”. Kiedy milczała, wystawał jej z ust jeden ząb.

Ta kobieta była przerażającym stworem, który kochał tylko swoje dzieci i bał się tylko męża.

A ten mąż marzył tylko o jednym: żeby być bogatym.

Tych dwoje ludzi — była to chytrość i złość, ożenione ze sobą, zaprząg obrzydliwy i groźny. Takie były te dwie istoty. Kozeta znalazła się między nimi, w środku, uciskana z obu stron. I mąż, i żona dręczyli ją, każde na swój sposób. Bito ją nieustannie — to było dziełem żony; chodziła boso w zimie — to było dziełem męża.

Kozeta dreptała po schodach, prała, myła, szorowała, zamiatała, biegała, harowała, sapała, nosiła ciężary i choć wąż, wykonywała najcięższe roboty. Zła gospodyni i złośliwy gospodarz nie mieli dla niej żadnej litości. Oberża Tenardierów jak

pajęczyna schwyciła w swą sieć drżącą Kozetę. Była muchą w służbie u pajaków.

Biedne, bezradne dziecko cierpiało w milczeniu.

W wigilię Bożego Narodzenia roku w niskiej izbie szynku Tenardierów, przy stole, na którym paliło się pięć czy sześć świec, siedziało kilku posłańców i woźniców; pili. Izba była taka jak wszystkie izby w gospodach: stoły, cynowe dzbany, butelki, wino, fajki; światła niewiele, zgiełku dużo. Tenardierową doglądała wieczery gotującej się na dużym ogniu, Tenardier przepijał do gości i rozprawiał o polityce.

Kozeta siedziała na swym zwykłym miejscu, na poprzeczce kuchennego stołu, koło pieca. Odziana była w łachmany, na bosych nogach miała chodaki i, w świetle paleniska, robiła na drutach wełniane pończochy dla córek Tenardierowej.

Mały kotek bawił się pod krzesłami. Z sąsiedniej izby słyhać było śmiechy i szczebiotanie świeżych, dziecinnych głosików: były to Anzelma i Eponina. Weszło czterech nowych gości.

Kozeta zamyśliła się smutnie; choć miała dopiero osiem lat, tyle już wycierpiała, że kiedy się zamyśliła, wyglądała jak posępna staruszka.

Powiekę miała aż czarną po uderzeniu pięści gospodyni, a Tenardierowa, patrząc na nią, powtarzała od czasu do czasu: — Jaka ona brzydka z tym sińcem na oku.

Kozeta myślała sobie, że jest już noc, ciemna noc, że niespodzianie trzeba napelnić dzbanki i karafki w pokojach nowych

gości i że w zbiorniku już nie ma wody.

Uspokajało ją nieco tylko to, że w gospodzie Tenardierów wody piło się niewiele. Nie brakowało tu ludzi dręczonych pragnieniem, lecz tym pragnieniem, które gasi się chętniej z kielicha niż z kubka. Gdyby ktoś zażądał szklanki wody, wydałby się dzikusiem wszystkim, którzy tu przesiadywali. W pewnej chwili jednakże dziecko zadrżało. Tenardierowa podniosła

pokrywą garnka, w którym coś się gotowało na kuchni, schwyciła szklankę i szybko podeszła do zbiornika. Odkręciła kran, a dziecko

podniosło głowę i uważnie śledziło każdy jej ruch. Z kranu pociekła cienka strużka wody i napelniła szklankę do połowy.

— O, już nie ma wody — powiedziała Tenardierowa i umilkła.

Dziewczynka wstrzymała oddech.

— E, wystarczy — odezwała się znów Tenardierowa, oglądając do połowy napelnioną szklankę.

Kozeta z powrotem zabrała się do drutów, ale jeszcze przez kwadrans czuła, jak jej serce trzepocze w piersi niby listek. Liczyła upływające minuty i pragnęła, żeby to już był jutrzejszy ranek.

Co pewien czas któryś z pijących wyglądał na ulicę i wołał:

„Ciemno jak w kominie!" albo: „Chyba tylko kot mógłby o tej porze chodzić po ulicy bez latarni!" Kozeta drżała słysząc te słowa.

Nagle wszedł wędrowny handlarz, który zatrzymał się w oberży, i rzekł gniewnie:

— Nie napojono mego konia.

— Jakże to? Przecież napojony — rzekła Tenardierowa.

— A ja wam powiadam, matko, że nie — powtórzył handlarz.

Kozeta wylazła spod stołu.

— Ale tak, proszę pana — powiedziała — koń pił z wiadra, całe wiadro wypił, ja sama mu nosiłam wodę i mówiłam do niego. . Była to nieprawda, Kozeta kłamała.

— Patrzajcie, małe to jak palec, a łże na pudy! — zawołał handlarz. — Powiadam ci, że nie pił, mała hultajko! Kiedy mu się chce pić, to parska. Już ja go znam.

Kozeta upierała się przy swoim i głosem ochryplym od strachu i prawie niedostłyszalnym dodała:

— I to dużo wypił.

— Co tu więcej gadać! — rzekł gniewnie handlarz. — Koń nie pił. Macie mi go zaraz napoić, i kwita.

Kozeta wróciła pod stół.

— Święta racja — powiedziała Tenardierowa. — Jeżeli zwierzę nie piło, trzeba je napoić.

I rozejrzała się

— A ta gdzie się znowu podziała?

Schyliła się i znalazła Kozetę skuloną pod stołem, w drugim jego końcu, już niemal pod nogami pijących. — Wyjdiesz ty stamtąd?! — wrzasnęła Tenardierowa.

Kozeta wyszła z ukrycia. Tenardierowa odezwała się:

— Niech no panna Psi Ogon zanieś wody koniowi.

— Ale nie ma wody, proszę pani — odpowiedziała cichutko Kozeta.

Tenardierowa otworzyła na oścież drzwi od ulicy.

— Więc idź po wodę.

Kozeta spuściła głowę i wzięła puste wiadro stojące koło pieca.

Wiadro było większe od niej, dziecko mogłoby w . nim wygodnie usiąść.

Tenardierowa wróciła do gotującej się na kuchni wieczery, drewnianą łyżką skosztowała potrawy z rondla i pomrukiwała:

— Woda jest w źródle. To chyba każdy wie. Zdaje mi się, że trzeba dodać cebuli.

Potem pogrzebała w szufladzie, w której leżały miedziaki, pieprz i czosnek.

— Na, bierz, panno Ropucho — odezwała się — wracając kupisz duży bochen chleba u piekarza. Masz tu piętnaście su.

Kozeta miała w fartuchu kieszeń; bez słowa wzięła pieniądz i wsunęła go do kieszeni.

I, z wiadrem w ręku, stała nieruchomo przed otwartymi drzwiami. Jakby jeszcze czekała, czy ktoś nie nadejdzie i nie uratuje jej.

— No, ruszże się! — krzyknęła Tenardierowa.

Wyszła. Drzwi się zamknęły.

Rząd kramów rozstawionych na ulicy ciągnął się od kościoła aż do oberży Tenardierów. Wszystkie były rześście oświetlone. Za to na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. W ostatniej budzie, stojącej na wprost drzwi Tenardierów, sprzedawano zabawki, błyskotki i najprzeróżniejsze cacka z blachy. W pierwszym rzędzie, na samym przodzie kramu, posadził kupiec ogromną lalkę w różowej, jedwabnej sukience, w wianku ze złotych kłosów na głowie; miała prawdziwe włosy i oczy z emalii. Przez cały dzień siedziało to cudo na wystawie, wzbudzając zachwyty wszystkich przechodniów w wieku do lat dziesięciu, ale nie znalazła się w Montfermeil ani jedna matka dość bogata czy dość rozrzutna, żeby ją kupić swemu dziecku. Eponina i Anzelma całymi godzinami podziwiała lalkę, a nawet i Kozeta ośmieliła się zerknąć na nią ukradkiem.

Również i teraz, kiedy przygnębiona i zrozpaczona wyszła z wiadrem w ręku, nie mogła się powstrzymać od popatrzenia na tę cudowną lalkę, na „damę”, jak ją nazywała. Biedne dziecko stanęło

jak skamieniałe. Jeszcze nie widziała lalki z tak bliska. Kram wydał się jej pałacem, a lalka nie była lalką, ale zjawą ze snu. Była to radość, świetność, bogactwo, szczęście, które objawiały się w blaskach jakiejś urojonej jasności temu

nieszczęśliwemu stworzeniu, tak głęboko pogrążonemu w ponurą i zimną nędzę. Kozeta z naiwną i smutną przenikliwością dziecka zmierzyła przepaść, jaka ją oddzielała od tej lalki. Pomyślała sobie, że aby mieć taką rzecz, trzeba być królewną albo co najmniej księżniczką. Patrzyła na śliczną, różową sukienkę,

na śliczne, połyskujące włosy i powtarzała: „Jaka ta lalka musi być szczęśliwa!” Nie mogła oderwać oczu od bajecznego kramu. Im dłużej przyglądała się, tym bardziej była zachwycona.

O wszystkim zapomniała w tym zachwycie, nawet o poleceniach, które jej dano. Nagle groźny głos Tenardierowej przywołał ją do rzeczywistości:

— Jak to, niedojdo, jeszcześ nie poszła? Poczekaj, już idę do ciebie! Popatrzcie no, co ona tam robi! Ruszaj, potworku! Tenardierowa wyrzła na ulicę i zobaczyła stojącą w zachwyceniu Kozetę.

Kozeta porwała wiadro i uciekła, jak tylko mogła najprędzej.

Nie spojrzła już więcej na żaden kram. Dopóki szła po ulicy Piekarskiej, świeczki z bud oświetlały drogę, ale już wkrótce znikło jej z oczu ostatnie światełko w ostatnim kramie. Biedne dziecko znalazło się wśród ciemności. Weszła w tę ciemność. A ponieważ ogarniał ją coraz większy lęk, z całych sił poruszała, idąc, pałakiem wiadra. Pałak zgrzytał i było jej z tym raźniej.

Im dalej szła, tym noc robiła się ciemniejsza. Na ulicach nie było już nikogo. Spotkała tylko jedną kobietę, a ta, minąwszy ją, odwróciła się i stanęła pomrukując: „Gdzież to może iść o tej porze takie maleństwo? Czyżby to był krasnoludek?” Wreszcie poznała Kozetę. „Aha — powiedziała — to Skowronek”.

Kozeta przewędrowała w ten sposób przez labirynt krętych i pustych uliczek położonych na krańcu Montfermeil od strony Chelles. Dopóki po obu stronach drogi znajdowały się domy lub choćby tylko mury szła dość śmiało. Tu i ówdzie przez szczelinę w okiennicy przenikał blask świecy, było to światło i życie, ludzie byli blisko i to jej dodawało odwagi. Im dalej jednak szła, tym bardziej zwalniała kroku, jakby bezwiednie. Minąwszy róg ostatniego domu, przystanąła. Kiedy minęła ostatni oświetlony kram — zdobyła się jakoś na to, żeby pójść dalej; ale wyjść za ostatni dom — nie, to się wydawało

niemożliwe. Postawiła wiadro na ziemi, zanurzyła palce we włosach i zaczęła Wolno drapać się w głowę; gest to znamienny u przerażonych dzieci, które nie wiedzą, co dalej robić. Tu kończyło się Montfermeil, zaczynały się pola. Leżała przed nią ciemna i pusta przestrzeń. Z rozpaczą patrzyła w tę ciemność, gdzie nie było już nikogo, tylko zwierzęta, a może i duchy. Spojrzała uważniej i usłyszała kroki zwierząt w trawie, i wyraźnie zobaczyła duchy poruszające się wśród gałęzi drzew. Schwyciła wiadro, strach dodał jej odwagi.

— Trudno — powiedziała — powiem jej, że już nie było wody!

I zdecydowanie zawróciła do Montfermeil.

Uszedłszy kawałek drogi zatrzymała się i znów

zaczęła się drapać w głowę. Teraz stanęła jej przed oczyma straszna Tenardierowa z mordą hieny, z oczyma pałającymi

złością. Dziecko spojrzało rozpaczliwie przed siebie i za siebie. Co robić? Dokąd pójść? Przed nią — widmo Tenardierowej, za nią — wszystkie widziadła nocy i lasu. Przemógł lęk przed oberżystką. Zawróciła w kierunku źródła i zaczęła biec. Biegając minęła ostatnie domy wsi i biegnąc wpadła do lasu; na nic nie patrzyła, niczego nie słuchała. Zwalniała tylko wtedy, kiedy już brakło jej tchu, ale nie przystanęła ani na chwilę. Jak szalona pędziła przed siebie. I kiedy tak biegła, chciało się jej płakać.

Ze wszystkich stron otoczyły ją nocne szумы lasu. Nie myślała, nie widziała. Ogromna noc wyrosła przed tym maleństwem.

Od skraju lasu do źródła było siedem, może osiem minut drogi. Kozeta знаła ją dobrze, bo często chodziła tędy w dzień.

Dziwne jednak, że nie zablądziła. Prowadziła ją jakaś resztką instynktu, gdyż nie patrzyła ani w lewo, ani w prawo, bojąc się, żeby nie zobaczyć czegoś wśród gałęzi i zarośli. W ten sposób dobiegła do źródła.

Była to niewielka, studzienka wydrążona przez wodę w gliniastym gruncie, głęboka na jakie dwie stopy, otoczona mchem i trawami i obłożona kilkoma dużymi kamieniami. Z cichym szmerem wypływał z niej strumyk.

Było bardzo ciemno, ale Kozeta często chodziła

do tego źródła. Nie odpoczywając ani chwili, lewą ręką poszukiwała po omacku młodego dębu pochylonego nad wodą, o który

się zwykle opierała, natrafiła na gałąź, uchwyciła się jej, schyliła i zanurzyła wiadro w studziencie. Siły jej wzrosły w trójnasób z podniecenia. Kiedy się schyliła, nie zauważyła, że pieniądz, który był w kieszeni jej fartucha, wpadł do wody. Nie widziała i nie słyszała, jak utonął. Wyciągnęła prawie pełne wiadro i postawiła je na trawie.

Teraz dopiero spostrzegła, że jest ogromnie zmęczona. Chciała od razu wracać, ale wysiłek przy napełnianiu wiadra był tak wielki, że nie mogła zrobić kroku. Musiała usiąść. Osunęła się na trawę i przycupnęła skulona.

Zamknęła oczy i znów je otworzyła nie wiedząc po co, ale inaczej nie mogła.

Woda w stojącym obok wiadrze poruszała się, tworząc koła podobne do srebrnych węzłów.

Niebo nad jej głową było pokryte ogromnymi, czarnymi chmurami. Zimny wiatr wiał od pół. Las był mroczny, nie szeleściły

liście. Groźnie sterczały nagie gałęzie drzew. W nędznych, pokracznych krzakach na polanie coś trzaskało. Wysokie trawy wiły się na wietrze jak węgorze. Tarniny poruszały się jak ramiona zakończone szponami, które szukają ofiary; żdźbła suchego wrzosu, gnane wiatrem, przelatowały szybko, jakby uciekając przed czymś, co nadchodzi. Poępna przestrzeń otoczyła dziewczynkę ze wszystkich stron.

Kozeta trzęsła się ze strachu.

Zaczęła głośno liczyć — raz, dwa, trzy, cztery — aż do dziesięciu, i znów zaczynała od początku. Aż wreszcie otaczające ją przedmioty powróciły do swych rzeczywistych kształtów. Uczuła, że jej zmarzły ręce, które zamoczyła czerpiąc wodę.

Wstała. Powrócił lęk, zwyczajny i przemożny. Ogarnęło ją jedno jedyne pragnienie — uciec! Uciekać ile sił w nogach, przez las, przez pole, tam, gdzie domy, tam gdzie okna, tam, gdzie zapalone świece. Spojrzała na stojące obok wiadro. Tak wielki był strach, który wzbudzała w niej Tenardierowa, że nie ośmieliła się uciekać bez wody. Schwyciła pałak w obie ręce. Z trudem udało się jej podnieść wiadro.

Przeszła tak z dziesięć kroków, ale wiadro było pełne, ciężkie i znów musiała je postawić na ziemi. Odpoczęła chwilę i znów schwyciła pałak, i znów zaczęła iść. Tym razem szła trochę dłużej, ale znów musiała się zatrzymać. Po kilku sekundach

znów poszła naprzód. Szła pochylona, ze spuszczoną głową, jak staruszka; w chudej, sztywno wyciągniętej ręce dźwigała

ciężkie wiadro; mokre palce do reszty jej zeszywniały i zmarzły, zaciśnięte na żelaznym pałaku; co pewien czas musiała przystawać, a kiedy przystawała, zimna woda wylewająca się z wiadra ochlapывwała jej gołe nogi. Działo się to w głębi lasu, w nocy, w zimie, z dala od ludzkich oczu; a to dziecko miało osiem lat. Dyszała ciężko, chrapliwie, boleśnie. Szloch

ściskał ją za gardło, ale nie śmiała płakać, tak bardzo się bała Tenardierowej, nawet i z daleka. Zwykle bowiem wyobrażała sobie, że Tenardierowa jest tuż przy niej.

Idąc w ten sposób, posuwała się naprzód bardzo wolno. Na próżno skracała chwile odpoczynku i starała się iść za każdym razem jak najdłużej. Myślała z rozpaczą, że wróci do Montfermeil najwcześniej za godzinę i że Tenardierowa zbije ją. A strach przed pustym i ciemnym lasem wzmagał jeszcze tę rozpacz. Ledwie się wlokła ze znużenia, a jeszcze przecież nie wyszła na pole. Kiedy dobrnęła wreszcie do znajomego jej starego kasztana — zatrzymała się po raz ostatni, na dłużej, żeby lepiej odpocząć, po czym zebrała wszystkie siły i dzielnie podniosła wiadro. Biedne, zrozpaczone dziecko ruszyło w dalszą drogę i tylko wyrwało mu się westchnienie:

— O mój Boże, mój Boże!...

W tej samej chwili uczuła nagle, że wiadro już jej nie ciąży. Jakaś dłoń, która wydała się jej ogromna, schwyciła pałak i trzymała silnie. Kozeta podniosła głowę. Duży, wysoki, czarny kształt szedł obok niej wśród ciemności. Był to człowiek, który widocznie wyszedł z lasu, a ona nie usłyszała jego kroków. Człowiek ten bez słowa ujął pałak wiadra, które niosła.

Każde spotkanie wywołuje w człowieku jakiś instynktowny odruch, często trafny. Kozeta nie przestraszyła się.

Nieznajomy przemówił. Jego głos był cichy i poważny.

— Moje dziecko, to przecież za ciężkie dla ciebie. Kozeta podniosła głowę i odpowiedziała.

— Tak, proszę pana.

— Daj — rzekł znowu. — Ja ci zaniosę. Kozeta puściła pałak. Nieznajomy, mężczyzna szedł obok niej.

— Bardzo ciężkie! — mruknął. I zapytał: .

— Ile masz lat, mała? . — Osiem, proszę pana.

— I z daleka tak idziesz?

— Od źródła w lesie.

— A do domu daleko?

— Jeszcze z kwadrans drogi. Mężczyzna umilkł na chwilę; nagle spytał:

— Nie masz matki?

— Nie wiem — odpowiedziała.

I dodała, nim się znów zdążył odezwać.

— Chyba nie mam. Inne dzieci mają. Ja nie mam.

Umilkła i znów się odezwała:

— Ja chyba nigdy nie miałam matki.

Mężczyzna zatrzymał się, postawił wiadro na ziemi i położył dłonie na ramionach dziewczynki, usiłując przyjrzeć się w ciemności jej twarzy.

Chuda i mizerna twarzyczka Kozety była ledwie widoczna wśród nocy.

— Jak ci na imię? — zapytał.

— Kozeta.

Nieznajomy drgnął. Jeszcze raz przyjrzał się dziecku, potem zdjął ręce z jej ramion, wziął wiadro i zaczął iść.

Po chwili zapytał:

— Gdzie mieszkasz, mała?

— W Montfermeil. Pan nietutejszy?

— Idziemy do Montfermeil?

— Tak, proszę pana.

Milczał przez chwilę, po czym znów zapytał:

— Kto cię posłał o tej porze po wodę do lasu?

— Pani Tenardierowa.

Nieznajomy pytał dalej, głosem dziwnie drżącym, choć usiłował nadać mu obojętne brzmienie:

— Czym się zajmuje ta twoja pani Tenardierowa?

— To moja gospodyni — odpowiedziała. — Ma oberżę.

— Oberżę? — rzekł. — To dobrze, przenocuję w tej oberży. Zaprowadź mnie.

— Właśnie tam idziemy — odpowiedziała.

Nieznajomy szedł dość szybko. Kozeta bez trudu dotrzymywała mu kroku. Już nie czuła zmęczenia. Od czasu do czasu spoglądała na tego człowieka z jakąś trudną do wytłumaczenia ufnością.

Tak upłynęło kilka minut. Nieznajomy odezwał się znowu:

— Czy pani Tenardierowa nie ma służącej?

— Nie, proszę pana.

— Jesteś u niej sama jedna?

— Tak, proszę pana.

Znów umilkli. Po chwili Kozeta odezwała się: — Są tam jeszcze dwie dziewczynki.

— Jakie dziewczynki?

— Ponina i Zelma.

— Któż to taki — Ponina i Zelma?

— To panienki Tenardierówny. No, córki gospodyni.

— A co one robią?

— O! — powiedziała dziewczynka. — One mają piękne lalki i takie pozłacane różności, całe mnóstwo rzeczy! Bawią się.

— Przez cały dzień?

— Tak, proszę pana.

— A ty?

— Ja pracuję.

— Przez cały dzień?

Dziewczynka podniosła w górę duże oczy, w których były łzy, niewidoczne w ciemności, i odpowiedziała:

— Tak, proszę pana.

A po krótkim milczeniu dorzuciła:

— Czasem, jak skończę robotę, to i mnie też wolno się pobawić.

— A jak się bawisz?

— Jak mogę. Nikt mi nie przeszkadza. Ale nie mam dużo zabawek. Ponina i Zelma nie dają mi się bawić swoimi lalkami. Mam tylko ołowianą szabelkę, o, tycią.

I pokazała mały palec.

Weszli do miasteczka; Kozeta poprowadziła nieznanego przez ulice. Przeszli koło piekarni, ale dziewczynka zapomniała, że kazano jej kupić chleb. Nieznajomy przestał pytać; milczał posępnie. Kiedy minęli kościół, widząc porozstawiane kramy, rzekł:

— Czy to jarmark?

— Nie, proszę pana. To Boże Narodzenie. Kiedy byli niedaleko oberży, Kozeta nieśmiało dotknęła jego ręki:

— Proszę pana...

— Co, moje dziecko?

— Już jesteśmy blisko domu.

— No to co?

— Może teraz ja wezmę wiadro?

— Dlaczego?

— Bo jak gospodyni zobaczy, że pan je niesie, to mnie zbije.

Nieznajomy oddał jej wiadro. W chwilę później stanęli przy drzwiach gospody.

Kozeta jeszcze raz spojrzęła z ukosa na wielką lalkę, wciąż jeszcze siedzącą na wystawie kramu z zabawkami, po czym zapukała. Drzwi otworzyły się. Tenardierowa ze świecą w ręku stała na progu.

— A, to ty, mała hultajko! Chwała Bogu, nareszcie! Gdzieś się bawiła, łajdaczko, przez tyle czasu?

— Proszę pani — powiedziała Kozeta trzęsąc się cała — ten pan przyszedł na noc.

Tenardierowa, jak to oberżystki potrafią, szybko

zmieniła groźną minę na uprzejmy grymas i chciwie poszukała wzrokiem nowego przybysza.

— To pan? — zapytała.

— Tak, pani — odpowiedział nieznanomy i dotknął ręką kapelusza.

Bogaci podróżni nie bywają tak grzeczni. Ten ruch, skromne ubranie i bagaż nieznanego, które Tenardierowa obejrzała

dokładnie jednym rzutem oka, sprawiły, że uprzejmy grymas znikł, na powrót ustępując miejsca gniewnej minie.

Odpowiedziała burkliwie:

— Wejdźcie, człowieku.

„Człowiek” wszedł. Tenardierowa jeszcze raz obejrzała go, oceniła spojrzeniem wytarty surdut i nieco wymiętoszony kapelusz i porozumiała się skinieniem głowy i przymrużeniem oka z mężem, który wciąż jeszcze pił z woźnicami. Mąż jej nieznacznie opuścił w dół duży palec, co w połączeniu z, wydęciem warg miało w podobnych wypadkach znaczyć: ostateczna golizna. Widząc to, Tenardierowa zawołała:

— Ano właśnie, mój dobry człowieku, bardzo mi przykro, ale już nie ma miejsca!

— Mogę przespać się gdziekolwiek — rzekł nieznanomy — na strychu czy w stajni. Zapłacę jak za pokój.

— Czterdzieści su.

— Czterdzieści su. Dobrze. — Jak chcecie.

— Czterdzieści su? — rzekł cicho jeden z

woźniców do Tenardierowej. — Przecież pokój kosztuje tylko dwadzieścia.

— Dla niego czterdzieści su — odpowiedziała tym samym tonem oberżystka. — Nocowanie takich ludzi psuje opinię gospody.

Tymczasem nieznajomy położył na ławie zawiniątko i kij i usiadł przy stole, a Kozeta szybko postawiła przed nim butelkę wina i szklankę. Kupiec, który domagał się wody dla konia, sam zaniósł wiadro do stajni. Kozeta wróciła na swoje miejsce pod kuchennym stołem i zabrała się do robienia pończochy.

Nieznajomy, ledwie umoczywszy usta w winie, którego sobie nalał z butelki, przypatrywał się dziecku z niezwykłą uwagą.

Kozeta była brzydka. Gdyby była szczęśliwa, może byłaby ładna. Chuda i blada, miała już prawie osiem lat, a wyglądała zaledwie na sześć. Wielkie, zapadnięte i podkrążone sino oczy straciły blask od częstego płaczu. Usta były wykrzywione

ciągłym strachem jak u skazanych na śmierć i śmiertelnie chorych. Ogień, który ją oświetlił w tej chwili, wyraźnie pokazywał kości ledwie przykryte skórą i przerażająco podkreślał jej chudość. Odziana w podarte płótno, nie miała na sobie ani jednego wełnianego gałanka. Przez dziury widać było gołe ciało pokryte sinymi i czarnymi plamami; wskazywały one miejsca,

których dotknęła Tenardierowa. Bose nogi były cienkie i czerwone. Trudno było patrzeć bez łez w oczach na wgłębienia koło jej

obojczyków. Cała postać tego dziecka, każdy ruch, dźwięk głosu, długie przerwy między słowami, kiedy mówiła, spojrzenie i milczenie — wszystko wyrażało to jedno: strach.

Była na wskroś przesiąknięta strachem, była nim jak gdyby okryta; strach przysuwał jej łokcie do bioder, chował pięty pod

spódnicę, strach kazał jej zajmować jak najmniej miejsca i zużywać jak najmniej powietrza przy oddychaniu. W głębi jej

żrenic w jednym kąciku przyczał się strach.

Strach ten był tak potężny, że choć Kozeta wróciła zupełnie mokra, nie śmiała podejść do ognia, żeby się wysuszyć, i cichutko zabrała się do swoich drutów.

Człowiek w żółtym surducie nie spuszczał z niej spojrzenia.

Nagle Tenardierowa zawołała:

— Ano właśnie! A gdzie chleb?

Kozeta szybko wyszła spod stołu. Ilekroć usłyszała groźny głos Tenardierowej, czym prędzej wychodziła spod stołu. Zupełnie zapomniała o chlebie. Postąpiła tak, jak postępują wszystkie zalęknione dzieci. Skłamała.

— Piekarz był zamknięty, proszę pani.

— Trzeba było stukać.

— Stukałam, proszę pani.

— I co?

— Nie otworzył.

— Dowiem się jutro, czy to prawda —

powiedziała Tenardierowa — a jeżeli skłamałaś, to już ja z tobą potańczę. A tymczasem oddaj piętnaście su.

Kozeta wsunęła rękę do kieszeni fartucha i struchlała. Nie było monety.

— No! — odezwała się znów Tenardierowa. — Słyszałaś?

Kozeta wyróciła kieszeń; kieszeń była pusta. Co się mogło stać z pieniędzmi? Nieszczęśliwe dziecko nic nie potrafiło znaleźć na swoje usprawiedliwienie. Stała bez ruchu.

— Co? Zgubiłaś te piętnaście su?! — wrzasnęła ochryple Tenardierowa. — A może chcesz mi je ukraść?

I wyciągnęła rękę po dyscyplinę wiszącą nad kuchennym piecem.

Na widok tego groźnego ruchu Kozeta odzyskała głos:

— Litości, proszę pani, proszę pani! Już nigdy nie będę!

Tenardierowa zdjęła z gwoździa dyscyplinę. Tymczasem człowiek w złotym surducie sięgnął nieznacznie do kieszeni kamizelki; inni podróżni i tak zresztą pili albo grali w karty i na nic nie zwracali uwagi.

Kozeta skuliła się rozpaczliwie w kącie koło pieca, usiłując skurczyć i skryć swoje biedne, półnagie członki.

Tenardierowa zamachnęła się.

— Przepraszam panią — rzekł nieznajomy — ale widziałem, że coś wypadło przed chwilą z

kieszeni fartucha tej małej i potoczyło się. Może to będzie właśnie ten pieniądz.

Schylił się i przez chwilę udawał, że czegoś szuka na podłodze.

— O, jest! Proszę — powiedział prostując się.

I podał Tenardierowej srebrną monetę.

— Tak, ta sama — powiedziała.

Nie była to ta sama moneta, bo podróżny dał jej dwadzieścia su, ale Tenardierowa nie pogardziła naddatkiem.

Schowała

pieniądz do kieszeni, a dziecku rzuciła groźne spojrzenie i powiedziała:

— Pamiętaj, żeby ci się to więcej nie zdarzyło. Kozeta wróciła do swojej „budy”, jak zwykła

była mawiać oberżystka, a jej wielkie oczy, wpatrzone w nieznajomego podróżnego, zaczęły nabierać takiego wyrazu, jakiego nigdy jeszcze nie miały. Tymczasem było to tylko naiwne zdziwienie, ale już pojawiały się w nim przebliski jakiejś dziwnej ufności.

— Aha, właśnie, czy chcecie zjeść kolację? — zapytała podróżnego Tenardierowa.

Nie odpowiedział. Zdawał się być głęboko zamyślony.

— Co to za jeden? — mruknęła do siebie. — Jakiś straszny biedak. Nawet nie ma za co zjeść wieczerzy. Czy mi aby tylko zapłaci za nocleg? Swoją drogą, szczęście, że nie ukradł pieniędzy, który leżał na podłodze!

Otworzyły się drzwi i Eponina i Anzelma weszły do izby.

Były to naprawdę ładne dzieci, bardziej miejskie niż wiejskie, pełne wdzięku. Jedna miała włosy kasztanowate, gładko zaczesane, druga — czarne warkoczki, które jej spadały na plecy, a obie były żywe, czyste, tłuste, świeże i zdrowe, że aż spojrzeć miło. Ubrane były ciepło, lecz z tak wielkim macierzyńskim staraniem, że mimo grubości materiału, ich sukienki

wyglądały zgrabnie i wdzięcznie. Ochrona przed zimą nie zatarła wiosennego wdzięku. Po ich ubraniu, po ich wesołości i

hałaśliwości łatwo można było poznać, że są to pierwsze osoby w domu. Kiedy weszły, Tenardierowa odezwała się głosem niby burkliwym, a pełnym zachwyty:

— No, przyszyście wreszcie!

I, sadzając je sobie po kolei na kolanach, przyglądała im włosy i poprawiała wstążki, po czym, z tkliwą, macierzyńską szorstkością odsuwając dziewczynki, zawołała: — A to się wystroili!

Dzieci usiadły przy piecu, z lalką, którą na wszystkie strony obracały i układały sobie na kolanach, rozmawiając przy tym wesoło. Kozeta co pewien czas odrywała wzrok od swojej półnagości i z ponurą miną patrzyła, jak się bawią.

Eponina i Anzelma nie patrzyły na Kozetę. Była dla nich niby pies.

Lalka sióstr Tenardierówien była bardzo zniszczona, bardzo stara, bardzo połamana, lecz Kozecie, która nigdy w życiu nie miała lalki, „prawdziwej lalki”, wydawała się niesłychanie piękna.

Nagle Tenardierowa, która nieustannie kręciła się po izbie, spostrzegła, że Kozeta znalazła sobie rozrywkę, że zamiast pracować, przypatruje się zabawie dziewczynek.

— Mam cię! — wrzasnęła. — To ty tak pracujesz? Nauczę cię roboty dyscypliną.

Nieznajomy, nie wstając z krzesła, obrócił się ku Tenardierowej.

— Proszę pani — rzekł uśmiechając się nieomalże lekliwie — niech się trochę pobawi.

Życzenie takie wyrażone przez podróżnego, który by zjadł porcję pieczeni i wypił dwie butelki wina do wieczery, i który by nie wyglądał na „strasznego biedaka” — byłoby dla oberżystki rozkazem. Ale Tenardierowa nie uznała za rzecz odpowiednią,

żeby człowiek, który nosił taki kapelusz, miał sobie pozwalać na wypowiedanie życzeń, żeby człowiek, który nosił taki surdut, miał jej dyktować swoją wolę.

Odburknęła niegrzecznie:

— Musi pracować, bo je! Nie po to ją karmię, żeby się wałkoniła.

— A co ona robi? — zapytał nieznajomy swym łagodnym głosem, który tak dziwnie odbijał od jego żebraczej odzieży i barów tragarza.

Tenardierowa raczyła odpowiedzieć:

— Pończochy, jeżeli koniecznie chcecie wiedzieć. Pończochy dla moich córeczek, bo prawie nie mają pończoch i już niedługo musiałyby chodzić boso.

Nieznajomy popatrzył na czerwone, zziębnięte nogi Kozety i odezwał się znowu:

— Kiedy skończy robotę tej pary?

— Najwcześniej za trzy dni albo i za cztery. To leń.

— Ale ile mogłaby kosztować ta para pończoch, kiedy już będzie zrobiona?

— Co najmniej trzydzieści su.

— Czy oddałaby mi ją pani za pięć franków? — zapytał.

— Do licha! — zawołał wybuchając śmiechem woźnica, który się przysłuchiwał rozmowie. — Za pięć franków! Ja myślę, że oddałaby! Pięć franków!

Tenardier uznał, że należy się wmieszać.

— Chętnie, proszę pana, jeśli taki jest pański kaprys. Odstąpimy panu tę parę pończoch za pięć franków. Niczego nie odmawiamy naszym gościom.

— Tylko trzeba zapłacić z góry — powiedziała krótko i stanowczo Tenardierowa.

— Kupuję pończochy — rzekł nieznajomy. Wyjął z kieszeni pięć franków i, kładąc je na stole, dodał:

— Płacę.

Po czym zwrócił się do Kozety:

— Teraz twoja praca do mnie należy. Baw się, moje dziecko.

Woźnica tak się przejął pięciofrankówką, że aż przybiegł porzuciwszy szklankę.

— Prawdziwa! — zawołał oglądając pieniądź. — Najprawdziwsza, jak tylne koło u wozu, nie podrobiona.

Tenardier zbliżył się i w milczeniu schował monetę do kieszeni.

Tenardierowa nic już nie mogła odpowiedzieć. Zagryzła wargi, a na jej twarzy pojawił się wyraz nienawiści.

Kozeta trzęsła się cała. Odważyła się zapytać:

— Proszę pani, czy to prawda? Czy mogę się bawić?

— Baw się! — odrzekła strasznym głosem Tenardierowa.

— Dziękuję, proszę pani — powiedziała Kozeta. A kiedy jej usta dziękowały Tenardierowej, małeńka dusza dziękowała

podróżnemu.

Tenardier wrócił do swej szklanki. Żona szepnęła mu na ucho:

— Kim może być ten żółty człowiek?

— Widywałem milionerów, którzy nosili takie same surduty — odpowiedział jej wyniośle Tenardier.

Kozeta odłożyła pończochy, ale nie wyszła spod stołu. Zawsze starała się jak najmniej ruszać. Ze stojącego za nią

pudełka wyjęła jakieś stare szmatki i swoją ołowianą szabelkę.

Eponina i Anzelma nie zwracały żadnej uwagi na to, co się działo dookoła. Udała im się właśnie sztuka nie lada — złapały kota. Lalkę rzuciły na ziemię, a Eponina starsza z siostr, ubierała kociaka, choć wrywał się i drapał, w całe mnóstwo

czerwonych i niebieskich sukienek i gałganków. Zajęta tą poważną i trudną pracą, tak mówiła do siostry:

— Widzisz, siostrzyczko, ta lalka jest dużo śmieszniejsza. Rusza się, krzyczy, jaka ciepłutka. Teraz nią się pobawimy. To będzie moja córka. Ja będę damą. Przyjdę do ciebie z wizytą, a ty będziesz się jej przyglądać. I zobaczysz, że ma wąsy, i zdziwisz się. A potem zobaczysz jej uszy, a potem zobaczysz jej ogon i zdziwisz się. I powiesz: „O Boże!” A ja ci powiem:

„Tak, proszę pani, mam właśnie taką córeczkę. Bo teraz dziewczynki są właśnie takie”.

Anzelma z podziwem słuchała Eponiny.

A kiedy Eponina i Anzelma ubierały kotka, Kozeta ubrała swoją szabelkę. Potem wzięła ją na ręce i śpiewała cichutko, żeby szabelka usnęła.

Tenardierowa podeszła tymczasem do „żółtego człowieka”.

„Mój mąż ma słusność — pomyślała. — Może to jest sam pan Laffitte. Bogacze często bywają dziwakami”.

Łokciami wsparła się o stół.

— Bo to, widzi pan... — zaczęła.

Na dźwięk słowa „pan” nieznajomy odwrócił się. Tenardierowa nazywała go do tej pory „człowiekiem”.

— Bo to, widzi pan — ciągnęła przybierając

słodką minę, która jej twarz czyniła chyba jeszcze szpetniejszą niż w złości — sama bym chciała, żeby się dzieciak bawił, nie mam nic przeciwko temu, ale to dobre na jeden raz, bo pan jest hojny. Widzi pan — gołe to, nie ma nic. Musi pracować.

— Więc to nie jest pani dziecko? — zapytał nieznajomy.

— Ale skądże, proszę pana! To biedne dziecko, przygarnęliśmy je ot, tak, z litości. Trochę jakieś niedorozwinięte. Musi mieć wodę w głowie. Sam pan widzi, jaką ma dużą głowę. Robimy dla niej, co możemy, bo sami nie jesteśmy bogaci. Pisaliśmy kilka listów, ale już od pół roku nikt nie odpowiada. Widać jej matka umarła.

— A! — rzekł nieznajomy i znowu sięzamyślił.

— Ta matka to była taka... niewiele warta — dodała Tenardierowa. — Porzuciła własne dziecko.

Podczas tej całej rozmowy Kozeta, której jakby jakiś instynkt podszeptnął, że o niej mowa, nie spuszczała oczu z Tenardierowej. Słuchała. Usłyszała niektóre słowa.

Tymczasem pijący, dobrze już podchmieleni, zaczęli śpiewać. Oberżystka podeszła do nich, żeby też wziąć udział w zabawie.. Kozeta patrzyła spód stołu na ogień, który odbijał się w jej nieruchomych oczach, i znów kołysała tę nibylalkę zrobioną z szabelki i śpiewała cichutko: „Moja matka umarła! Moja matka umarła! Moja matka umarła!”

Na ponowne nalegania oberżystki „żółty człowiek”, „milioner”, zgodził się wreszcie zjeść wieczerzę.

— Co panu podać?

— Chleba i sera — odpowiedział.

— „To z pewnością nędzarz” — pomyślała Tenardierowa.

Pijący wciąż śpiewali swoją piosenkę, a dziecko pod stołem też wciąż śpiewało swoją.

Nagle Kozeta przestała śpiewać. Odwróciła się i zobaczyła lalkę małych Tenardierówien; lalka, porzucona przez nie dla kota, leżała na podłodze, tuż przy kuchennym stole.

Odłożyła owiniętą w gałganek szabelkę, która w połowie tylko mogła zastąpić lalkę, i wolno rozejrzała się po izbie.

Tenardierowa po cichu rozmawiała z mężem i liczyła pieniądze, Ponina i Zelma bawiły się kotem, podróżni jedli, pili albo

śpiewali, nikt na nią nie patrzył. Należało nie tracić ani chwili. Na czworakach wylazła spod stołu, jeszcze raz upewniła się, czy nikt jej nie podpatruje, potem szybko przysunęła się do lalki i porwała ją. W chwilę później znów siedziała nieruchomo na swoim miejscu, ale tak odwrócona, żeby zakryć sobą lalkę, którą tuliła w ramionach.

Nikt jej nie spostrzegł prócz podróżnego, który jadł powoli swoją ubogą wieczerzę.

Radość trwała niespełna kwadrans.

Chociaż bowiem Kozeta tak wiele przedsięwzięła ostrożności, nie zauważyła, że jedna noga lalki

„sterczy” i że oświetla ją jaskrawo ogień z pieca. Ta różowa, oświetlona noga wyłaniająca się z cienia wpadła nagle w oko Anzelmie i mała odezwała się do siostry:

— Patrz, Eponino!

Dziewczynki osłupiały. Kozeta ośmieliła się wziąć lalkę!

Eponina wstała i, nie puszczając kota, podeszła do matki i pociągnęła ją za spódnicę.

— Daj mi spokój — powiedziała matka. — Czego chcesz?

— Mamo — rzekła dziewczynka — popatrz! I wskazała palcem Kozetę.

Kozeta, wprawiona w zachwyt posiadaniem lalki, nie widziała i nie słyszała, co się naokoło działo.

Twarz oberżystki wykrzywił gniew. Kozeta ośmieliła się przywłaszczyć sobie lalkę „panienek”!

Głosem ochrypłym z oburzenia wrzasnęła:

— Kozeta!

Kozeta zadrżała, jakby się pod nią ziemia zatrzęsła. Odwróciła się.

— Kozeta! — powtórzyła Tenardierowa. Kozeta wzięła lalkę i, delikatnie, jakby ze czcią,

a zarazem z rozpaczą, położyła ją na podłodze. Potem, nie spuszcając z niej oczu, złożyła ręce i — jakież to straszne u tak małego dziecka! — załamała je; a później stało się to, czego z niej nie wyrwało żadne z ciężkich przeżyć tego dnia

— ani

wędrówka przez las, ani ciężar wiadra z wodą, ani zgubienie pieniądza, ani widok dyscypliny, ani

nawet złe słowa Tenardierowej — rozpląkała się. Wybuchnęła płaczem.

Tymczasem podróżny wstał.

— Co się stało? — zapytał Tenardierowej.

— Czy pan nie widzi? — odrzekła wskazując palcem dowód winy, spoczywający u stóp Kozety na podłodze.

— Więc co takiego? — powtórzył nieznajomy.

— Ta żebraczka ośmieliła się dotknąć lalki moich dzieci — odpowiedziała Tenardierowa.

— I o to tyle hałasu? — rzekł nieznajomy. — A niechby się pobawiła tą lalką.

— Dotykała jej swoimi brudnymi łapami! — mówiła dalej Tenardierowa. — Swoimi obrzydliwymi łapami!

Kozeta zaszlochała jeszcze głośniej,

— Będziesz cicho! — wrzasnęła oberżystka. Nieznajomy poszedł ku drzwiom, otworzył je i wyszedł na ulicę.

Ledwie wyszedł, Tenardierowa, korzystając, że go nie ma, kopnęła ukrytą pod stołem Kozetę tak silnie, że dziecko aż krzyknęło.

Drzwi otworzyły się: nieznajomy wrócił niosąc oburącz bajeczną lalkę, o której już mówiliśmy, a którą wszystkie dzieciaki w miasteczku podziwiała przez cały dzień, i postawił ją przed Kozetą mówiąc:

— Masz, to dla ciebie.

Kozeta podniosła oczy, patrzyła na idącego ku niej nieznajomego z lalką tak, jak patrzyłaby na idące ku niej słońce, usłyszała nieprawdopodobne

słowa: „To dla ciebie”, spojrzała na niego, spojrzała na lalkę, a potem zaczęła cofać się powoli i ukryła się pod stołem, głęboko, w samym kącie przy ścianie.

Już nie płakała, już nie krzyczała, zdawało się, że nawet odetchnąć nie śmie.

Tenardierowa, Eponina, Anzelma osłupiały. Nawet pijacy przestali pić. Karcznię zaległa uroczysta cisza.

W oniemiałej i skamieniałej Tenardierowej znów obudziły się podejrzenia:

„Kim jest ten stary? Czy to biedak? Czy milioner? A może i jedno, i drugie, czyli — złodziej?”

Oberżysta zerknął na podróżnego, zerknął na lalkę; rzekłbyś, że obwąchuje tego człowieka i że zwąchał worek z pieniędzmi. Trwało to nie dłużej, niż trwa błyskawica. Podeszedł do żony i szepnął:

— Ta sztuczka kosztuje najmniej trzydzieści franków. Nie rób głupstw! Plackiem przed tym człowiekiem! .

— No, Kozetko — odezwała się więc Tenardierowa głosem, który jak to zwykle bywa u złych bab, miał być słodziutki, a był jak miód z octem — czemu nie bierzesz swojej lalczki?

Kozeta nieśmiało wysunęła się z kąta.

— Moja kochana Kozetko — odezwał się pieszczotliwie Tenardier. — Pan daje ci lalkę. Weź. To dla ciebie.

Kozeta jak gdyby z przerażeniem wpatrywała się w cudowną lalkę. Twarz jej była jeszcze cała mokra

od łez, lecz oczy, jak niebo o świcie, już zaczynały rozpromieniać się radością. Zdawało się jej, że jeśli dotknie tej lalki — to wyskoczy z niej piorun. Miała zresztą słuszną pewną miarę, gdyż była pewna, że Tenardierowa rozgniewałaby się — i zbiłaby ją. Wreszcie podeszła jeszcze bliżej i szepnęła nieśmiało, zwracając się do Tenardierowej:
— Czy mogę, proszę pani?
Żadne słowa nie oddadzą wyrazu jej twarzy, na której rozpacz, przestrasz i zachwyty pojawiły się równocześnie.
— Dalibóg! — rzekła Tenardierowa. — To dla ciebie. Skoro pan ci daje.
— Naprawdę, proszę pana? — pytała Kozeta. — Czy naprawdę? To dla mnie ta dama?
Nieznajomy miał łzy w oczach. Najwidoczniej bał się odezwać, żeby się nie rozpląkać, tak bardzo był wzruszony. Skinął głową i włożył rękę „damy” w małą rączkę Kozety. Kozeta gwałtownie cofnęła rękę, jakby ją sparzyła ręka lalki, i uporczywie wpatrywała się w podłogę. Nagle — odwróciła się i porwała lalkę.
— Będzie się nazywała Katarzyna — powiedziała.
Niezwykły to był widok, kiedy łachmany Kozetki zetknęły się w tym uścisku ze wstążkami i świeżymi różowymi muślinami, w które była ubrana lalka.

— Proszę pani — odezwała się jeszcze. — Czy mogę ją posadzić na krześle?
— Możesz, moje dziecko — odpowiedziała Tenardierowa.
Tym razem Eponina i Anzelma z zazdrością przypatrywały się Kozecie. Kozeta posadziła Katarzynę na krześle, sama usiadła obok krzesła, na podłodze, i bez ruchu, bez słowa zastęła wpatrzona w lalkę.
— Baw się, Kozeto — rzekł nieznajomy.
— Przecież ja się bawię — odpowiedziała.
Nieznajomy był w tej chwili człowiekiem, którego Tenardierowa nienawidziła najbardziej na świecie. Musiała się jednak pohamować. Czym prędzej kazała iść spać swoim córkom, po czym poprosiła „żółtego człowieka” o „pozwolenie” odesłania do łóżka także i Kozety — „która jest dzisiaj bardzo zmęczona” — dodała macierzyńskim tonem.
Kozeta poszła spać, zabierając ze sobą Katarzynę.
Tenardierowa od czasu do czasu szła w drugi koniec izby, gdzie siedział jej mąż, żeby sobie „ulżyć na duszy”.
— Stary głupiec! Co mu do łba wpadło? Żeby narobić tyle zamieszania! Żądać, żeby się ten mały potwór bawił! Dawać jej lalki! Dawać lalki za czterdzieści franków suce, którą bym oddała za czterdzieści su! Jeszcze trochę — i zaczniesz do niej mówić „jaśnie wielmożna” jak do księżniczki! Gdzie tu rozum? Czy się wściekł ten stary, tajemniczy dureń?

— Dlaczego? To bardzo proste — odparł Tenardier.. — Jeżeli mu to sprawia przyjemność? Tobie sprawia przyjemność, żeby mała pracowała, a jemu sprawia przyjemność, żeby się bawiła. Ma prawo. Gość może robić, co zechce, jeżeli płaci. Jeżeli ten stary jest filantropem — to co ci szkodzi? Jeżeli jest głupcem — to co cię to obchodzi? Po co się wtrącasz, jeżeli go na to stać?
Słowa głowy domu i rozumowanie oberżysty wykluczały wszelki sprzeciw.
Nieznajomy siadł przy stole, podparł ręką głowę i znów pogrążył się w rozmyśleniach. Inni goście, kupcy i woźnice, odsunęli się nieco, przestali śpiewać. Przypatrywali mu się z tej odległości z mieszaniną szacunku i lęku. Ten dziwak

tak ubogo odziany, który tak obojętnie wyjmował z kieszeni pięciofrankówki i rozdawał olbrzymie lalki małym pomywaczkom w chodakach, był niewątpliwie człowiekiem potężnym i groźnym. Upłynęło kilka godzin. Ludzie w miasteczku wrócili z pasterki, pijacy poszli sobie, karczmę zamknięto, izba opustoszała, ogień zgasł, nieznajomy wciąż siedział na tym samym miejscu, w tej samej pozie. Od czasu do czasu zmieniał rękę, na której wspierał głowę. To wszystko. Odkąd Kozeta wyszła, nie odezwał się ani słowem. W izbie pozostali tylko Tenardierowie, przez obyczajność i przez ciekawość.

— Czyżby miał zamiar przesiedzieć tak całą noc? — pomrukiwała oberżystka.

Kiedy zegar wybił drugą po północy, uznała się za pokonaną i powiedziała do męża:

— Idę spać. A ty rób, co chcesz.

Oberżysta usiadł przy stojącym w kącie stole, zapalił świecę i zabrał się do czytania „Kuriera Francuskiego”.

Znów upłynęła godzina. Zaczny karczmarz przeczytał „Kurier Francuski” chyba ze trzy razy, od daty numeru aż po nazwisko drukarza. Nieznajomy nie ruszał się.

Tenardier kręcił się, kaszlał, chrząkał, wycierał nos, hałasował krzesłem. Nieznajomy nawet nie drgnął.

„Chyba usnął?” — pomyślał Tenardier.

Nieznajomy nie spał, ale nic go nie mogło obudzić.

Wreszcie Tenardier zdjął z głowy swoją myckę, podszedł cicho i ośmielił się zapytać:

— Czy nie zechciałby pan udać się na spoczynek?

— Rzeczywiście — odparł nieznajomy. — Ma pan słuszość. Gdzie jest ta wasza stajnia?

— Proszę za mną — rzekł z uśmiechem Tenardier. — Ja zaprowadzę pana.

Wziął świecę, nieznajomy zabrał zawiniątko i kij i Tenardier zaprowadził go do pokoju na pierwszym piętrze — do paradnego pokoju z mahoniowymi meblami i ogromnym łóżem z firankami z czerwonego perkalu.

— Co to jest? — zapytał podróżny.

— To nasza własna ślubna sypialnia — odparł oberżysta. — Teraz śpimy razem z żoną w innym pokoju. Tu wchodzi się nie częściej niż trzy, cztery razy do roku.

— Mógłbym równie dobrze przespać się w stajni — dość szorstko odpowiedział nieznajomy.

Tenardier udał, że nie słyszy tej niezbyt pochlebnej uwagi.

Zapalił dwie nowiuteńkie; woskowe świece, ustawione na kominku, w którym płonął suty ogień.

Kiedy podróżny odwrócił się, gospodarza już nie było.

Oberżysta poszedł wreszcie do swego pokoju. Żona była już w łóżku, ale nie spała. Kiedy usłyszała kroki męża, odwróciła się i powiedziała:

— Żebyś wiedział, że jutro wyrzucę z domu Kozetę. — Takaś prędką! — odparł chłodno Tenardier. Nie rozmawiali więcej, a w kilka chwil później

zgasili świecę.

Tymczasem podróżny położył w kącie swój kij i zawiniątko. Po odejściu gospodarza usiadł w fotelu i znów się zamyślił. Potem zszedł z trzewiki, wziął jedną ze świec, drugą zdmuchnął, otworzył drzwi, wyszedł z pokoju i rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Przeszedł przez korytarz i znalazł się na schodach. I tu usłyszał lekki szmer przypominający oddech dziecka.

Kierując się tym szmerem, doszedł aż do trójkątnej wnęki pod schodami, do schowka utworzonego przez spód podnoszących się ukośnie

stopni. Tam, między starymi koszami i garnkami, wśród pajęczyn i kurzu, znajdowało się posłanie; jeżeli można nazwać

posłaniem podarty siennik, z którego sypała się słoma, i kocyk tak podarty, że przez dziury widać było płótno siennika. Ani

ślada prześcieradła. Siennik leżał wprost na podłodze. Na tym posłaniu spała Kozeta, Nieznajomy zbliżył się i patrzył na dziecko.

Kozeta spała głęboko. W ubraniu. W zimieniu rozbierała się na noc, żeby było ciepiej.

Tuliła do siebie lalkę, której duże, otwarte oczy błyszczały po ciemku. Od czasu do czasu wzdychała głęboko, jakby już miała się obudzić, i niemal kurczowo ścisnęła rączkami Katarzynę. Przy jej posłaniu stał tylko jeden chodak.

Przez drzwi otwarte tuż obok komórki Kozety było widać dość duży, ciemny pokój. Nieznajomy wszedł tam. W głębi, za oszklonymi drzwiami, zobaczył dwa małe, jednakowe, białe łóżeczka. Tam spały Anzelma i Eponina.

Nieznajomy, przypuszczając, że z pokojem tym sąsiaduje sypialnia małżonków Tenardierów, chciał się cofnąć, kiedy nagle wzrok jego zatrzymał, się na kominku. Me było w nim ani ognia, ani nawet popiołu, za to stało tam coś, co zwróciło uwagę podróżnego. Były to dwa zgrabne dziecinne pantofelki, niejednakowej wielkości; podróżny przypomniał sobie o ślicznym i odwiecznym obyczaju — że dzieci w wigilię Bożego Narodzenia wstawiają buciki do kominka po to, żeby dobra wróżka mogła

włożyć w nie po ciemku piękny podarunek. Eponina i Anzelma pamiętały o tym i wstawiły swoje buciki do kominka. Podróżny pochylił się.

Wróżka, czyli matka, już przeszła tędy i w każdym buciku połyskiwała śliczna, nowiuteńka, dziesięciogroszowa moneta.

Nieznajomy wyprostował się i już miał odejść, kiedy z boku, w głębi, w najciemniejszym kącie kominka spostrzegł jeszcze jeden przedmiot. Przyjrzał mu się i poznał, że to chodak, okropny chodak z najgorszego drewna, połamany i ubrudzony

popiołem i przyschniętym błotem. Był to chodak Kozety.

Chodak był pusty.

Nieznajomy sięgnął do kieszeni kamizelki, schylił się i włożył do chodaka Kozety złotego luidora. Po czym, stąpając ostrożnie, wrócił do swego pokoju.

Nazajutrz, chyba na dwie godziny jeszcze przed świtem, Tenardier siedział w izbie gospody, przy świecy, z piórem w rękę i wypisywał rachunek dla podróżnego w żółtym surducie.

Żona stała za nim i, pochylając się, śledziła ruchy pióra. Odbywało się to w milczeniu. Z głębi domu dolatywały jakieś hałasy: to Skowronek zamiatął schody.

Po kwadransie pracy i kilku poprawkach Tenardier stworzył arcydzieło następującej treści:

Rachunek dla pana z nr

Kolacja franki

Pokój franków

Świeca franków

Opał franki
Usługa frank
Razem: franki

Słowo „usługa” było napisane: „usłoga”.

— Dwadzieścia trzy franki! — zawołała żona z entuzjazmem, choć nie bez niedowierzania. — Właściwie — masz pan rację, panie Tenardier, tyle jest winien — dodała ciszej, myśląc o lalce ofiarowanej Kozecie w obecności jej córek. — Słusznie, ale za dużo. Nie zechce zapłacić.

Tenardier zaśmiał się krótko i rzekł:

— Zapłaci.

Tenardierowa nie odezwała się więcej. Zaczęła sprzątać ze stołów; mąż spacerował tam i z powrotem. Po chwili odezwał się znowu:

— Mam tysiąc pięćset franków długu.

Usiadł w kącie przy kominku i rozmyślał grzejąc stopy na ciepłym popiele.

— A właśnie — odezwała się Tenardierowa — pamiętasz? Dziś wyrzucam z domu Kozetę. Ach, ten potworek!

Wątroba mi

się wywraca, jak sobie pomyślę o tej lalce!

Tenardier zapalił fajkę i, zaciągając się dymem, powiedział:

— Oddasz tamtemu człowiekowi rachunek.

I wyszedł.

Zaledwie znikł za drzwiami, do izby wszedł podróżny.

Tenardier natychmiast zjawił się tuż za nim i przystanął za uchylonymi drzwiami, gdzie widziała go tylko żona.

„Żółty człowiek” trzymał w ręku kij i zawiniątko.

— Tak wcześnie! — rzekła Tenardierowa. — Czy już nas pan opuszcza?

Mówiąc to, niezdecydowanie obracała w palcach rachunek.

Podróżny wydawał się jakiś zamyślony i roztargniony. Odpowiedział:

— Tak, pani. Już odchodzę.

— Więc nie miał pan nic do załatwienia w Montfermeil?

— Nie. Po prostu przechodziłem tędy. Ile jestem pani winien? — zapytał.

Tenardierowa w milczeniu podała mu złożony rachunek.

Nieznajomy rozwinął kartkę, spojrzął, lecz jego uwaga najwidoczniej znajdowała się gdzie indziej.

— Czy dobrze idzie wam gospoda w tym Montfermeil? — zapytał.

— Tak sobie, proszę pana — odpowiedziała, oberżystka, zdumiona, że nieznajomy nie protestuje.

— O, proszę pana — ciągnęła dalej płaczliwie i żałośnie. — Teraz takie ciężkie czasy. I tak mało jest bogatych ludzi w tej okolicy. Sama hołota. Rzadko trafiają się podróżni szlachetni i bogaci, nie przymierzając jak pan. A mamy tyle obowiązków. O, na przykład ta mała, ile ona nas kosztuje!

— Jaka mała?

— No, wie pan, ta mała, Kozeta. Skowronek, jak ją tutaj na wsi nazywają.

— Aha — powiedział nieznajomy. Oberżystka mówiła dalej:

— Jakie to głupie przezwiska wymyślają ci chłopci! Bardziej podobna do nietoperza niż do skowronka. Widzi pan, nie prosimy o jałmużnę, ale dawać jej nie możemy. Nic nie zarabiamy, a mamy

ogromne wydatki. Patent, podatki, dodatki do podatków. Wie pan przecież, ile rząd wyciska pieniędzy. A ja mam swoje

własne córki. Nie potrzebuję karmić cudzych dzieci.

Głosem nieco drżącym, choć usiłował mu nadać obojętne brzmienie, nieznajomy odpowiedział:

— A gdyby ktoś panią uwolnił od tego ciężaru?

— Od czego? Od Kozety?

— Tak.

Czerwona i gniewna twarz oberżystki zajaśniała obrzydliwą radością.

— O, mój panie, mój kochany panie, bierzcie ją, zabierzcie, posypcie cukrem, nadziejcie, wypijcie, zjedzcie i niech was

błogosławi Matka Boska i wszyscy święci pańscy!

— Dobrze.

— Naprawdę? Zabierze ją pan?

— Zabiorę ją.

— Zaraz?

— Zaraz. Niech pani zawoła dziewczynkę.

— Kozeta! — wrzasnęła Tenardierowa.

— Tymczasem zapłacę rachunek — powiedział nieznajomy. — Ile wynosi?

Rzucił okiem na kartkę i nie mógł pohamować zdumienia.

— Dwadzieścia trzy franki! Spojrzał na oberżystkę i powtórzył:

— Dwadzieścia trzy franki?

Sposób, w jaki po raz wtóry wymówione zostało

to zdanie, tym się różnił od sposobu, w jaki je wymówiono po raz pierwszy, czym wykrzyknik różni się od znaku zapytania. Tenardierowa zdążyła już przygotować się na odparcie uderzenia. Odpowiedziała swobodnie:

— Ano tak, proszę pana! Dwadzieścia trzy franki! ,

Nieznajomy położył na stole pięć pięciofrankówek.

— Niech pani przyprowadzi dziewczynkę — powiedział.

W tej chwili wyszedł na środek izby Tenardier i rzekł: . . .

— Rachunek pana wynosi dwadzieścia sześć su.

— Dwadzieścia sześć su?! — zawołała oberżystka.

— Dwadzieścia su za pokój — mówił dalej Tenardier — i sześć su za kolację. A co do dziewczynki, to muszę chwilę porozmawiać z panem. Zostaw nas samych, żono.

Tenardierowa wyszła nie odezwawszy się więcej ani słowem.

Skoro zostali sami, Tenardier podsunął podróżnemu krzesło. Podróżny usiadł; Tenardier stał przed nim, a jego twarz przybrała niezwykle wyraz dobroduszości i prostoty.

— Bo to, widzi pan — odezwał się — powiem panu całą prawdę. Ja ubóstwiam to dziecko.

Nieznajomy spojrział nań przenikliwie. — Jakie dziecko?

Tenardier mówił dalej:

— To śmieszne, ale człowiek przywiązuje się. Na co mi te pieniądze! Niech pan schowa swoje franki! Ja to dziecko ubóstwiam.

— Jakie? — zapytał nieznajomy.

— A naszą małą Kozetę! Przecież chce pan ją zabrać, prawda? A więc, powiem panu otwarcie, że, jak pan jest uczciwym

człowiekiem, nie mogę się na to zgodzić. Będzie mi brakowało tego dziecka. Chowam ją od małego. To prawda, że nas kosztuje, to prawda, że nie jesteśmy bogaci, to prawda, że kiedy chorowała, raz jeden tylko wydałem przeszło czterysta franków na lekarstwa. Ale przecież trzeba coś zrobić dla Pana Boga. Nie ma to biedactwo ani ojca, ani matki, ja ją wychowałem. Starczy chleba i dla niej, i dla mnie. Przywykłem do tego dziecka, naprawdę. Pań rozumie, człowiek przywiązuje się. Jestem prosty głuptas, nie rozumiem wiele i kocham tę dziewczynkę. Moja żona jest prędką, ale też ją kocha. Widzi pan — to jak gdyby nasze własne dziecko. Trudno byłoby mi odzwyczaić się od jej szczebiotania w domu.

Nieznajomy wciąż przypatrywał mu się uporczywie. Oberżysta mówił dalej:

— Przepraszam, pan wybacz, ale przecież nie oddaje się własnego dziecka pierwszemu lepszemu przechodniowi.

Mam

rację, prawda? Ja nie wiem, cóż, pan jest bogaty, wygląda pan na porządnego człowieka, może to szczęście dla niej?

Ale trzeba wiedzieć. Rozumie pan? Przypuśćmy, że pozwolę ją

zabrać, że się poświęcę — chciałbym jednak wiedzieć, dokąd poszła, nie chciałbym stracić jej z oczu, chciałbym wiedzieć, u kogo jest, i odwiedzić ją czasami, żeby wiedziała, że przybrany ojciec czuwa nad nią. Ale pewne rzeczy są naprawdę

niemożliwe. Nie znam nawet pańskiego nazwiska. Zabierze ją pan — i co? Gdzie Skowronek? Gdzie się podział?

Trzeba by przynajmniej obejrzeć jakiś świstek, jakiś paszport czy co.

Nieznajomy, nie przestając wpatrywać się weń jednym z tych spojrzeń, które, rzec by można, docierają aż do dna sumienia, odpowiedział poważnie i stanowczo:

— Panie Tenardier, człowiek, który wychodzi pięć mil poza Paryż, nie bierze ze sobą paszportu. Jeżeli zabiorę Kozetę, to ją zabiorę na dobre. Nie dowie się pan mojego nazwiska, nie dowie się pan, gdzie mieszkam, nie dowie się pan, gdzie ona

będzie, i jest moim zamiarem, żeby pana już nigdy w życiu nie zobaczyła. Zrywam powróż, którym ją przywiązano do tej

oberży, i dziecko zniknie na zawsze. Czy się pan zgadza? Tak albo nie.

Tenardier zrozumiał, że ma do czynienia z kimś bardzo mocnym. Poprzedniego wieczora niby to pił z woźnicami, niby to palił i wyśpiewywał sprośne piosenki, lecz naprawdę przez cały czas obserwował nieznajomego, czatował na niego jak kot, studiował go jak matematyk. Ani jeden ruch człowieka w żółtym surducie nie uszedł jego uwagi. Zanim jeszcze nieznajomy ukazał tak jawnie swą

życzliwość dla Kozety — Tenardier już odgadł wszystko. Przechwycił głębokie spojrzenia starego, które wciąż powracały do dziecka. Skąd ta życzliwość? Kim był ten człowiek? Dlaczego mając tyle pieniędzy nosił tak ubogie ubranie? Ku swej irytacji nie znajdował odpowiedzi na te pytania. Myślał o tym przez całą noc. Nie mógł to być ojciec Kozety. Może był to jej dziadek? Wobec tego — dlaczego nie dał się poznać od razu? Kiedy człowiek ma do czegoś

prawo, to je pokazuje. Ten człowiek najwidoczniej nie miał żadnych praw do Kozety. Kim więc był? Tenardier gubił się wśród przypuszczeń. Podejrzał wszystko, ale niczego nie widział wyraźnie. Tak czy siak — rozpoczynając rozmowę z nieznanym był przekonany, że kryje się w tym wszystkim jakaś tajemnica, że ów człowiek z pewnych względów chce pozostać w cieniu, i czuł się silny; po wyraźnej i stanowczej odpowiedzi nieznanego, kiedy zobaczył, że ta tajemnicza osoba jest w tak prosty sposób tajemnicza — poczuł się słabym. Czegoś podobnego nie oczekiwał. Było to przekreślenie jego przypuszczeń. Zebrał myśli. W ciągu jednej sekundy ocenił położenie. Tenardier należał do tych ludzi, którzy oceniają położenie w mgnieniu oka. — Panie — rzekł — potrzebuję tysiąca pięciuset franków. Nieznajomy wyjął z bocznej kieszeni stary portfel z czarnej skóry, otworzył go, wyciągnął trzy banknoty i położył je na stole. Po czym przycisnął

banknoty dużym palcem swej szerokiej ręki i rzekł do oberżysty:

— Niech pan przyprowadzi Kozetę.

A co przez ten czas robiła Kozeta?

Kozeta, obudziwszy się, pobiegła po swój chodak. Znalazła w nim złoty pieniądz. Nowiuteńką dwudziestofrankówkę. Była zachwycona. Nagła odmiana losu zaczynała ją oszalać. Nie wiedziała, czym jest taki złoty pieniądz, nigdy jeszcze nie widziała takiego; szybko schowała go do kieszeni, jakby był kradziony. Czuła jednak, że to dla niej, zgadywała, od kogo, i ogarnęła ją radość pełna strachu. Była uradowana, lecz nade wszystko — zdumiona. Te podarunki tak wspaniałe i tak śliczne wydawały się jej nieprawdziwe. Bała się lalki, bała się złotego pieniądza. Bała się tych wspaniałości. Nie bała się tylko nieznanego. Przeciwnie, jego obecność dodawała jej otuchy. Od wczoraj, wśród tylu nieoczekiwanych przeżyć, i później, przez sen, myślała swą małą dziecinną główką o tym człowieku, który wyglądał staro; ubogo i tak smutnie, a który był taki bogaty i taki dobry. Odkąd spotkała go w lesie, wszystko w jej życiu jakby się odmieniło. Kozeta, mniej w tym względzie szczęśliwa od najlichszego wróbelka, nie wiedziała, co to skryć się w cień matki, pod skrzydło. Od pięciu lat, czyli jak daleko mogła sięgnąć wspomnieniem, biedne dziecko tylko drżało i marzło. Zawsze była naga na ostrym wietrze nędzy, teraz jakby ją ktoś ubrał. Dawniej jej duszy było zimno, teraz zrobiło się

ciepło. Już mniej się bała Tenardierowej. Już nie była sama; miała kogoś.

Szybko zabrała się do swojej codziennej porannej roboty. Luidor, a miała go przy sobie, w tej samej kieszeni fartucha, z której poprzedniego dnia wypadło piętnaście su — co chwila odrywał ją od pracy. Nie śmiała go dotykać, ale oglądała często, długo i, wyznać musimy, z wysuniętym językiem. Zamiatając schody przystawała, zapominała o miotle i o całym świecie i patrzyła na tę gwiazdę świecącą w jej kieszeni.

Podczas jednej z takich chwil zapatrzona zbliżyła się do niej Tenardierowa.

Na rozkaz męża przyszła po dziewczynkę. Rzecz niebywała — nie szturchnęła jej, nie obrugała.

— Kozeto — powiedziała niemal łagodnie — chodź prędko.

W chwilę później Kozeta weszła do izby gospody.

Nieznajomy rozłożył swoje zawiniątko. Znajdowała się w nim wełniana sukienka, fartuszek, barchanowy kaftanik, halka, chustka, wełniane pończochy, trzewiki — całkowity przyodziewek dla ośmioletniej dziewczynki; Wszystko było czarne.

— Moje dziecko — rzekł — weź to, idź i ubierz się jak najprędzej.

Świtało, kiedy niektórzy mieszkańcy Montfermeil, ci, co najwcześniej pootwierali drzwi swoich domów, zobaczyli na ulicy Piekarskiej starego, ubogo odzianego człowieka, który prowadził za rękę

dziewczynkę w żalobie. Dziewczynka niosła ogromną, różową lalkę. Szli w stronę Livry. Byli to nasz nieznajomy i Kozeta. Nikt nie znał tu tego człowieka; a ponieważ Kozeta nie miała na sobie łachmanów, prawie nikt jej nie poznał. Kozeta odchodziła. Z kim? Nie wiedziała. Dokąd? Nie. wiedziała. Rozumiała tylko jedno — że opuszcza gospodę Tenardierów. Nikt się z nią nie pożegnał i ona nie pożegnała się z nikim. Kiedy nieznajomy wyszedł, zabierając Kozetę, Tenardier odczekał z kwadrans, po czym odwołał na bok żonę i pokazał jej tysiąc pięćset franków.

— Tylko tyle! — powiedziała.

Po raz pierwszy od początku ich małżeństwa ośmieliła się skrytykować postępek swego władcy i pana.

Strzał nie chybił.

— Rzeczywiście, masz słuszość — powiedział — jestem dureń! Daj mi kapelusz..

Złożył trzy banknoty, wsunął je do kieszeni i śpiesznie wyszedł, lecz pomylił się i skręcił najpierw w prawo. Sąsiedzi, których pytał, wskazali mu właściwą drogę, gdyż widziano, że nieznajomy poszedł ze Skowronkiem w stronę Livry.

Usłuchał tej wskazówki i szybko pomaszerował przemawiając głośno do samego siebie:

— Ten człowiek to widać milion w żółtym surducie, a ja jestem bałwan! Lekką ręką dał najpierw dwadzieścia su, potem pięć franków, potem pięćdziesiąt franków, a potem tysiąc pięćset franków. Dałby równie łatwo i piętnaście tysięcy. Ale złapie go. A zawiniątko z ubraniem dla małej, zawczasu przygotowane — to wszystko jest dziwne; kryje się tu jakaś tajemnica. Człowiek z głową nie powinien wypuścić z rąk takiej tajemnicy. Sekrety bogaczy to pełne złota gąbki; trzeba je umieć wyzyskać. — Wszystkie te myśli wirowały mu w mózgu. — Jestem bałwan! — powtórzył. Nagle stanął i uderzył się w czoło jak człowiek który zapomniał najważniejszej rzeczy i gotów jest zawrócić.

— Trzeba było zabrać strzelbę! — rzekł. Po chwili wahania pomyślał sobie:

„Nie można. Zdażyliby uciec”.

I poszedł przed siebie szybkim, pewnym krokiem czujny, skupiony jak lis, który tropi stado kuropatw.

Istotnie, kiedy minął stawy i przeszedł na skos przez dużą polanę, ujrzał nad gęstwiną zarośli kapelusz, na którym wybudował tyle pięknych planów. Był to kapelusz nieznajomego. Zarośla były niskie. Tenardier domyślił się, że podróżny i Kozetka usiedli. Mała postać dziecka znikła za krzakami, ale było widać głowę lalki.

Tenardier nie omylił się. Nieznajomy usiadł, żeby dać nieco odpocząć Kozecie. Karczmarz obszedł krzaki i pojawił się nagle przed oczyma tych, których szukał.

— Bardzo przepraszam pana — rzekł zdyszany — o, tutaj są pańskie pieniądze.

Mówiąc to, podał nieznajomemu trzy banknoty. Nieznajomy podniósł wzrok.

— Co to znaczy?

Tenardier odpowiedział z szacunkiem:

— To znaczy, proszę pana, że odbieram Kozetkę. Kozeta zdrząła i przytuliła się do podróżnego. Ten zaś, patrząc Tenardierowi prosto w oczy i

akcentując każdą sylabę, odpowiedział:

— Odbiera pan Kozetę?

— Tak, proszę pana, odbieram ją. Zaraz panu powiem dlaczego. W gruncie rzeczy nie mam prawa oddawać panu dziecka.

Cóż, jestem uczciwym człowiekiem. Ona nie do mnie należy, tylko do swojej matki. Matka mnie ją powierzyła i mogę ją

oddać tylko matce. Odpowie pan na to: ale jej matka umarła. Dobrze. W takim razie mogę oddać dziecko tylko takiej osobie, która mi przyniesie papier przez matkę podpisany, a w którym będzie powiedziane, że mam wydać dziecko tej właśnie osobie. To przecież jasne.

Nieznajomy, nie odpowiadając, sięgnął do kieszeni i oczom Tenardiera po raz wtóry ukazał się portfel z pieniędzmi. Karczmarz uczył dreszcz radości.

„Ślicznie — pomyślał — trzymajmy się! Chce mnie przekupić”.

Podróżny, zanim otworzył portfel, rozejrzał się dookoła. Miejsce było zupełnie puste. W lesie i w dolinie ani żywej duszy. Nieznajomy otworzył portfel i wyjął z niego — nie plik banknotów, którego spodziewał się Tenardier, ale zwykłą kartkę papieru, którą rozłożył i podał oberżyscie, mówiąc:

— Ma pan słusność. Proszę przeczytać.

Tenardier. wziął kartkę i przeczytał:

Montreuil, marca

Panie Tenardier!

Proszę oddać Kozetę tej osobie. Zapłaci Panu za wszystkie drobne wydatki.

Z poważaniem Fantyna

— Zna pan ten podpis? — zapytał nieznajomy.

Był to podpis Fantyny. Tenardier poznał go. Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Ogarnęła go gwałtowna i dwojaka złość: był wściekły, że musi się wyrzec pieniędzy, których się spodziewał, był wściekły, że przeciwnik go pokonał.

Nieznajomy dorzucił: — Może pan zatrzymać tę kartkę jako dowód. Tenardier musiał zwinąć chorągiewkę.

— Podpis niezłe podrobiony — mruknął przez zęby. — Ano trudno, niech będzie.

Zrobił jeszcze ostatnią rozpaczliwą próbę.

— Dobrze, mój panie — powiedział. — Skoro pan jest tą osobą. Ale trzeba mi zapłacić za wszystkie „drobne wydatki”.

A

będzie to sumka niemała

Nieznajomy wstał i rzekł strzepując palcami kurz z wytartego rękawa surduta:

— Panie Tenardier, w styczniu matka obliczyła, że jest panu dłużna sto dwadzieścia franków; w lutym przysłał jej pan rachunek na pięćset franków; otrzymał pan trzysta franków w końcu lutego i trzysta franków na początku marca. Od tamtego czasu upłynęło dziewięć miesięcy, po piętnaście franków według umowy, co razem wynosi sto trzydzieści pięć franków. Otrzymał pan o sto franków więcej. Zostało trzydzieści pięć franków długu. Przed chwilą dałem panu tysiąc pięćset franków.

„Diabeł, nie człowiek! Kto to jest?” — pomyślał Tenardier.

Jeszcze spróbował. Odwaga raz już poskutkowała.

— Panie, którego nazwiska nie mam przyjemności znać — rzekł rezolutnie, bez żadnego szacunku tym razem — da mi pan tysiąc talarów albo zabieram Kozetę.

Nieznajomy rzekł spokojnie:

— Chodź, Kozeto.

I podał dziewczynce lewą rękę, a prawą podniósł z ziemi swój kij.

Tenardier rozejrzał się — pałka była ogromna, a miejsce odludne.

Nieznajomy wszedł w las razem z dzieckiem, zostawiając nieruchomego i oniemiałego karczarza.

Kiedy się oddalił, Tenardier popatrzył na jego szerokie, przygarbione bary i potężne pięści.

Potem spojrzął na swoją własną postać, na wątłe ramiona i chude ręce.

„Cóż za dureń ze mnie — pomyślał — żem nie zabrał strzelby, idąc na polowanie!”

Lecz jeszcze nie dał za wygraną.

— Muszę się dowiedzieć, dokąd pójdzie — rzekł. I trzymając się w przyzwoitej odległości, zaczął iść ich śladem. W rękach zostały mu dwie rzeczy: kartka papieru z podpisem Fantyny, na drwinę, i tysiąc pięćset franków, na pociechę.

Nieznajomy uprowadzał Kozetę w kierunku Livry i Bondy. Szedł powoli, ze zwieszoną głową, zamyślony i smutny.

Zima przeredziła las i Tenardier nie tracił ich z oczu, choć trzymał się z daleka. Od czasu do czasu nieznajomy odwracał się i patrzył, czy ktoś go nie śledzi. Nagle dostrzegł Tenardiera. Szybko skręcił razem z Kozetą w gęstwinę, w której oboje mogli skryć się.

— Do licha! — rzekł Tenardier i przyspieszył kroku.

Żeby ich nie zgubić wśród zarośli, musiał podejść bliżej.

Nieznajomy wszedł między najgęstsze krzaki i znów się odwrócił. Spostrzegł oberżystę. Tym razem spojrzenie jego było tak ponure, że Tenardier uznał, iż „nie warto” iść dalej. Zawrócił.

Tegoż samego dnia, o zmierzchu, nieznajomy razem z Kozetą wszedł przez roгатkę Monceau do Paryża. Najął kabriolet, kazał się zawieźć na plac Obserwatorium, tu wysiadł, zapłacił dorożkarza, wziął Kozetę za rękę i poszli oboje przez ciemne i puste ulice.

Dzień to był dla Kozety niezwykle i pełen wzruszeń; jedli pod płotami chleb i ser kupowany w stojących na uboczu oberżach, często zmieniali dylizanse, część drogi przeszli piechotą, dziewczynka nie skarżyła się, ale była zmęczona i towarzyszył jej spostrzegł, że, idąc, coraz bardziej ciągnie w dół jego rękę.

Wziął ją na barana; Kozeta, nie wypuszczając z objęć Katarzyny, oparła głowę na jego ramieniu i usnęła.

